

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 czerwiec 2016, nr 1



Jan Nepomucen.

Rzeźba kamienna z 1776 roku, stojąca przy kaplicy im. ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego w Lesznówoli

Gmina w obiektywie

Poznajmy gminę, która się rozrasta, nie tracąc nic ze swojego trochę miejskiego i trochę wiejskiego uroku.



Lesznów ma doskonałą lokalizację.
Jej sąsiedztwo z Warszawą, stolicą dużego państwa
w centrum Europy, jest wielkim atutem.





Od Redakcji

Gdyby ktoś zapytał mnie o ważne i trafne decyzje podjęte w moim życiu, na czołowym miejscu wymieniałbym tę, po której wyprowadziliśmy się z Warszawy i zamieszkaliśmy w naszej gminie.

Tej decyzji nie mogli zrozumieć moi rodzice, a mój ojciec, stary Warszawiak chyba nie zaakceptował jej nigdy.

Zastanawiam się często, co bym robił dziś w Warszawie, bo tu, obcując z naturą mam zajęcia od rana do wieczora. Mimo ponad trzydziestu lat jakie upłynęły od tamtego czasu, odkrywam niemal każdego dnia coś nowego i cieszę się, że szczęśliwy traf sprowadził mnie do Władysławowa. Wtedy ubogiej wsi, gdzie po głównej drodze krowy ciągnęły łańcuchy wracając z pastwiska.

Tyle przez te lata się zmieniło, gmina się rozrosła, przybyli nowi mieszkańcy. Jedni o naszej gminie nie wiedzą nic, inni trochę.

Proponuję, poznamy się.

Poznamy gminę, która się rozrasta, nie tracąc nic ze swojego trochę miejskiego i trochę wiejskiego uroku. Z rolniczej przeistacza w nowoczesną, chętnie zasiedlaną przez nowych mieszkańców i przedsiębiorstwa.

Poznamy ludzi, którzy tu mieszkają, którzy mają swoje pasje, mają coś ciekawego do opowiedzenia innym.

Miesięcznik „moja Lesznowola”, którego pierwszy numer trafia do Państwa rąk, taki ma właśnie cel. Lesznowola jest moja, Twoja, Nasza. Jesteśmy mieszkańcami naszej gminy. Warto byśmy się bliżej poznali.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE Joanna Żuk
DRUK I OPRAWA MATRIX
WYDAWCA IMAGO, KATARZYNA KWIATKOWSKA
05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

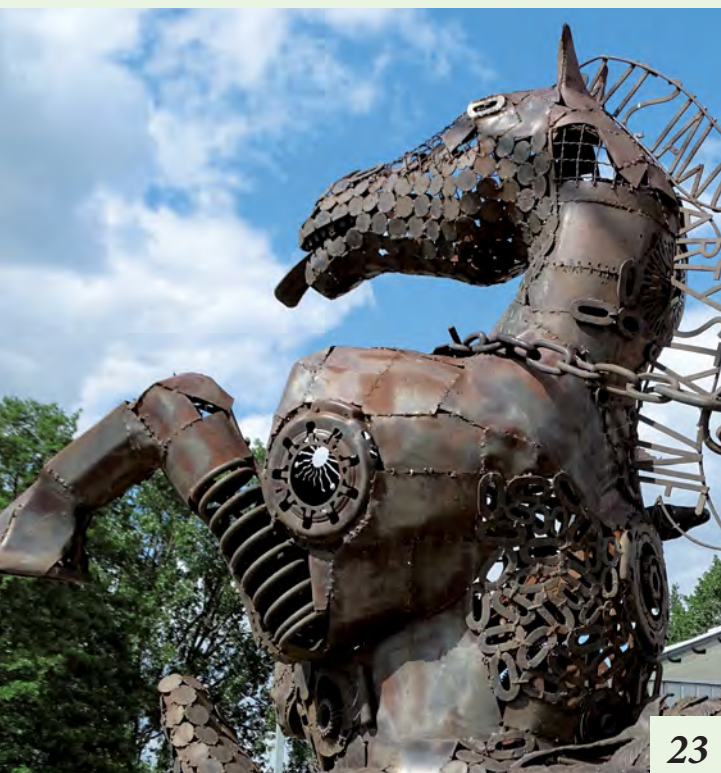
GMINA
LESZNOWOLA



WITAMY

Poznajmy ludzi, którzy tu mieszkają,
mają swoje pąsje, mają coś ciekawego do opowiedzenia.

POZNAJMY SIĘ!



Spis treści

- 8 Święto gminy**
Było pogodnie, wesoło, smacznie i muzycznie...
- 12 Udane życie**
Na wszystko potrzeba czasu...
- 15 Niczego nie żałuję**
Od osiemnastu lat ma wpływ na to, co w Lesznowoli się dzieje...
- 19 Koń potrafi płakać**
Jaki naprawdę jest koń, wiedzą tylko prawdziwi koniarze...
- 23 Żelazo ma duszę**
Jedni piszą książki, inni śpiewają, komponują, a my kujemy...
- 28 Ten z Leszczy**
Maciej Miecznikowski, muzyk, piosenkarz, multiinstrumentalista, zna się na pszczołach...
- 34 Nad szklaneczką jabłkowego soku**
Sad ma się dlatego, że kwitnie, i że owocuje...
- 38 Cisza w ulu**
Grzaniec najlepiej smakuje podawany w kamionkowych naczyniach...
- 43 Okręt na kotwicy**
Zaczęliśmy pamiętać od frezji...
- 46 Pamiętamy o tamtej nocy**
- 48 Truskawkowy zawrót głowy**



15



43



38



Święto gminy Lesznówola

Było pogodnie, wesoło, smacznie i muzycznie. Zgodnie z życzeniami jakie Maria Jolanta Batycka-Wąsik, wójt gminy i Bożenna Korlak Przewodnicząca Rady Gminy Lesznówola złożyły mieszkańcom otwierając Święto Gminy.

16:00 Arka Noego

Konferansje
Jacek Krawiec

Weterynarz
Adopcja psów
i kotów

15:00
Big Band DLA FRAJDY

18:20
Kabaret DNO

22:15
Szkoła harce

SPORTOWE IMPREZY TOWARZYSZĄCE

Legia MTB Maraton - Głód Piaskowe przy ul. Brzozowej w Magdalenice 9:00-15:00

Turistyczny Międzynarodowy Aktywność 2016 - kompleksa boisk w Nowej Woli 9:00-13:00

ŚWIĘTO GMINY LESZNOWOLA 11 CZERWCA 2016 SOBOTA

START 15:00

Duża scena na błoniach przed Urzędem Gminy

ZAPRASZAMY

ATRAKcje

- Wesołe miasteczko i gry sportowe
- Biuro Mistrzostwa Medytacji i Mistrzostwa
- Warsztaty plastyczne i ceramiczne
- Lesznówolski Ogród Kaliski
- Warsztaty druku na tkaninie
- Warsztaty tańca tradycyjnego
- Warsztaty czepienia papieru
- Secusdiaz i Minionki
- Indywidualny Park Runów
- Warsztaty rzemieślnicze
- Stoiska z rękodziełem, handlowe i gastronomiczne

Sprawdź szczegóły na www.lesznowola.pl

PATRONAT MEDIALNY

SPONSORZY

Złoty

SANKSIJONOWANE MEDYCYNĄ

SPONSORZY

ASG

SPONSORZY

ASG







Kolejne święto, tradycyjnie za rok.
Do zobaczenia!





Ciekawe ilu mieszkańców Lesznowoli może powiedzieć, życie nam się udało? Ilu, udała się nam rodzina, mamy wspaniałe dzieci? Trzech synów, trzy synowe, pięciu kochanych wnuków i spotykamy się w niedzielę przy jednym stole, choć razem nie mieszkamy. Ilu, po 52 latach małżeństwa może powiedzieć, to były wspaniałe lata? Mamy ogromną satysfakcję, że tyle zrobiliśmy dla innych, że bezinteresownie poświęcaliśmy swój czas, ciesząc się radością, jaką dawały podejmowane przez nas inicjatywy. Odpowiedź będzie bolesna. Niewielu.

Dlatego to wydanie „mojej Lesznowoli” zaczynamy od wizyty w niewielkim domu z ogrodem w Wólce Kosowskiej, do którego z Warszawy przenieśli się państwo Anna i Jerzy Kwiatkowsky. Oboje są doktorami nauk rolniczych. Zjeździli z całą rodziną pół świata. Trafili do Wólki Kosowskiej.

Tu rodziły się pomysły na odbudowanie wiejskiej świetlicy i założenie amatorskiego teatru. Tu podczas rozmów planowano całonocne wycieczki po Polsce i festyny dla mieszkańców sołectwa. Pani Anna pisała teksty sztuk, a pan Jerzy zastanawiał się, jak w komputerze wyposażyć świetlicę i pielęgnować winogrona w niewielkiej winnicy. Tu wreszcie powstawały „Raporty”, w których młodzież ze świetlicy opowiadała o odbytych wycieczkach. Hasło „Pamiętajcie drogie dzieciaki:

Bez Festynu nie ma wycieczki!” zawierało całą filozofię społecznego działania.

POCZĄTKI

Pracowaliśmy oboje w Instytucie Genetyki i Hodowli Zwierząt w Jastrzębcu. Ślub wzięliśmy 1 lutego 1964 roku i był to pierwszy ślub w instytucie i siódme nasze spotkanie – wspominają ze śmiechem państwo Kwiatkowsky. 7 marca Jerzy wyjechał na osiem miesięcy do Szwajcarii.

Kiedy wybieraliśmy się na emeryturę, zawsze mówiłam, że chcę za oknami mieć trawnik i drzewa. Rozglądaliśmy się za takim miejscem. To, że znaleźliśmy się w Wólce Kosowskiej to zasługa Jurka i jego mamy – mówi pani Anna. Gdy oboje dobijali targu, ja poszłam na spacer, bo nie

RAPORTY – Opowiada młodzież ze Świetlicy w Wólce Kosowskiej

„Ostatnia majówka 2004 roku”. „Odbyła się na starym boisku w Kosowie. W przygotowaniu imprezy, której celem było zdobycie funduszy na wakacyjną wycieczkę młodzieży, brali udział niemal wszyscy mieszkańcy sołectwa, zaprzyjaźnione firmy i instytucje oraz ludzie dobrej woli... My młodzież ze Świetlicy przygotowaliśmy program artystyczny w ramach powołanej do życia w czasie ubiegłorocznego Festynu rozgłosi KNN (Kosów Nadaje Najlepiej)... Dorośli zorganizowali zbiórkę odzieży, zabawek, książek, kaset, płyt i sprzętu gospodarstwa domowego... Rzeczy te sprzedawano w „Stoiskach Promocyjnych” w cenie od 1 do 5 zł, a dowód zakupu był jednocześnie biletem na loterię...”

Rok 2006. „O tym jak zwiedziliśmy Płock, Grunwald, Olsztyn, Lidzbark, Giżycko, Suwałki i Wilno”. „Rano zebrał się grupą w Kosowie, skąd o godz. 8.00 wyjechaliśmy pod świetlicę w Wólce Kosowskiej. Tam oczekiwali nas z niecierpliwością pozostali uczestnicy wycieczki. Oczywiście pan Dariusz Granat dopilnował tego, by nie przeoczyć potrzebnych nam dokumentów. Szczęśliwi i uśmiechnięci zajęliśmy miejsca i ruszyliśmy w trasę...”

Rok 2008. „O tym jak zwiedziliśmy Górny Śląsk”. „Po 6 godzinach zatrzymaliśmy się w Chorzowie, zjedliśmy obiad i poszliśmy zobaczyć Narodowy Stadion, ale niestety był zamknięty. Wobec tego ruszyliśmy do ZOO, gdzie było bardzo dużo zwierząt: żyrafy, hipopotamy, niedźwiedzie, lwy, zebry, tygrysy, węże i różne ptaki... Ostatnią poniedziałkową atrakcją były odwiedziny w Wesołym Miasteczku... Zmęczeni, ale zadowoleni, pojechaliśmy autobusem do naszego schroniska w Gliwicach...”



Zdjęcia pochodzą z wystawy „Album rodzinny naszego sołectwa”.

lubiłam specjalnie tej pani, która dom sprzedawała i od niej nie chciałam nic kupować. Gdy wróciłam ze spaceru, było już po transakcji. To była chyba jedyna transakcja kupna domu, gdzie właścicielka nie opuściła ani złotówki a kupcy bez słowa, przez grzeczność, nawet nie próbowali się targować.

I tak jesteś tu już dwadzieścia lat.

ŚWIETLICA

W budynku, w którym jest obecnie świetlica była dawniej szkoła. Szkołę z czasem przeniesiono do Mrokowa, salę zamknięto. Nie było koncepcji, jak to miejsce zagospodarować. Początkowo chciała to przejąć gmina, ale ponieważ szkoła była wybudowana w czynie społecznym przez mieszkańców, to mieszkańcy powiedzieli gminie – nie. Chcemy z tego korzystać. 15 lat temu we wsi było wiele dzieci, więc powstała idea otwarcia w budynku świetlicy wiejskiej. I my tę ideę wsparliśmy czynem – wspominają państwo Kwiatkowscy.



Chodziłam z Jurkiem od domu do domu i zbieraliśmy podpisy pod „referendalnym” pytaniem, czy chcesz, by to była wiejska świetlica. Ludzie chcieli. Mielśmy to czarno na białym. Na piśmie.

Potem doszliśmy do wniosku, że musi być w świetlicy ktoś zatrudniony na stałe, bo my oboje jeszcze pracowaliśmy.

Namówiliśmy bardzo inteligentną panią, która sprzątała świetlicę. Zgodziła się. Potem prawie zmusiłam tę panią Bożenkę, by skończyła kurs przedszkolań, potem zrobiła maturę i stała się świetną pracownicą. W świetlicy było zawsze tak czysto, jak u niej w domu, choć miała troje dzieci i tylko pokój z kuchnią. Jak od niej przychodziłam, to odruchowo łapałam się za szczotkę.

Gdy gromada świetlicę przejęła, zaczęliśmy ją organizować. Zorganizowaliśmy najpierw – mówi pan Jerzy – pracownię komputerową. I to dla dzieciarni była ogromna atrakcja. Uczyliśmy dzieciaki posługiwania się komputerem.

Żona, która ma zacięcie pisarskie, zorganizowała zespół teatralny i zaczęła pisać sztuki, które wystawiano w świetlicy, bo młodzież tu była bardzo zdolna i chętna.

Tu są dwie wsie – objaśnia pani Anna. Kosów i Wólka Kosowska. Kosów to byli pracownicy PGR, a Wólka to dawni gospodarze. Czyli państwo i nie państwo. Pierwsza sztuka, którą tym zespołem wystawiliśmy miała tytuł „Romek i Julka”, a zaczynała się tak:



„Znana jest wszystkim tragedia Szekspira, o Capuletych i Montekich sporach, gdzie złość wzajemna krwawo żniwo zbiera i własne dzieci układa na marach. Wierzyć się nie chce, jak dzieje podobne dwóch polskich rodzin z jednej małej wioski, co nie umiały żyć ze sobą zgodnie. Jedni zwą się Wólczanie a drudzy Kosowscy...”

Dla przekory i pewnego doświadczenia w naszej sztuce Wólczanie grali Kosowscy a Kosowskie Wólczanie. Pani Bożena mówiła – no, to dopiero teraz się wszyscy pokłócą. Ale nie miała racji. Na przedstawienie przyszła chyba cała wieś, brawa były ogromne, wszystkim się podobało a co najważniejsze, stosunki między zwaśnionymi stronami bardzo się poprawiły.



Potem wystawiliśmy kolejną napisaną przez żonę sztukę – „Zakładamy firmę”. Zdobyła ona w konkursie w Karniewie drugie miejsce. Dzieciaki były tu bardzo zdolne. Teraz chodzimy z żoną po ślubach, bo wszyscy nas zapraszają.

Oprócz zespołu teatralnego założyliśmy chór. Miałem pewne zdolności po ojcu, który był pierwszym tenorem chóru cerkiewnego w Wojutynie na Wołyniu, więc założyliśmy zespół „Zielone nutki” i dzieciaki śpiewały.

Zorganizowaliśmy bardzo interesującą wystawę „Album rodzinny naszego sołectwa”, gdzie wystawiliśmy zgłoszone przez mieszkańców stare zdjęcia zamieszkanych tu rodzin. Było wiele pomysłów. To był wspaniały okres.

W 2003 roku wpadliśmy na pomysł organizowania tych festynów rodzinnych, o których wspomnieliśmy.

Kiedy zaczęły się trudności z pozyskiwaniem pieniędzy na działalność świetlicy od gminy, założyliśmy stowarzyszenie. Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Świetlica Wiejska w Wólce Kosowskiej”. W tym roku dostaliśmy od gminy pierwszą dotację pieniężną na realizację naszych inicjatyw. Dwa razy do roku wyjeżdżamy ze wsi autokarem do teatru. – Pamiętam, jak pierwszy raz zaproponowaliśmy wyjazd do teatru, to ludzie mówili – pani Aniu a do kina nie można? Dlaczego do teatru? A teraz chcą tylko do teatru.

Jestem z tego bardzo dumna, bo dzięki nam mieszkańcy odkryli teatr – mówi pani Anna.

FINAŁ

Spółcznikostwo mamy chyba we krwi. Żona z pewnością wyniosła je z harcerstwa. Ja jestem chłopakiem ze wsi. Działalem w Związku Młodzieży Wiejskiej.

Kiedyś działalność społeczna była w cenie. Teraz jest gorzej. Ze smutkiem obserwuję, że dziś coraz bardziej umacnia się taki pazerny indywidualizm, a wspólne działania nie mają poparcia. Coraz więcej nowych mieszkańców osiedla się na wsi i na wspólne działania potrzeba czasu. Na wszystko potrzeba czasu. ■

A portrait of Marią Jolantą Batycką-Wąsik, a woman with long brown hair and blue eyes, wearing a light pink long-sleeved dress and a silver watch. She is standing with her arms crossed against a light blue background.

***Przekonanie,
że można
zmieniać świat,
było bardzo
ważnym
czynnikiem
mojej decyzji.***

Rozmowa z Marią Jolantą Batycką-Wąsik, wójtem gminy Lesznówola

Od osiemnastu lat ma wpływ na to, co w Lesznówoli się dzieje. Ma wpływ na pozycję gminy, firmuje swoim nazwiskiem ważne dla mieszkańców decyzje.

Fot. Żaneta Niżnikowska

NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ

Jest rok 1998. Wybory wójta. Zapamiętała Pani ten pierwszy raz?

– Doskonale pamiętam. To były czasy, gdy wójta wybierała Rada Gminy. Przyszli do mnie radni i zaproponowali, bym kandydowała w wyborach. Pracowałam wówczas od kilku lat w urzędzie gminy pełniąc funkcję kierownika Urzędu Stanu Cywilnego, a następnie sekretarza gminy.

Pamiętam, że dość długo zastanawiałam się nad tą propozycją. Miałam podjąć ważną decyzję. Nawet wtedy nie przypuszczałam, jak bardzo wpłynie ona na moje życie, ale po rozważeniu wszystkich plusów i minusów, które ta decyzja za sobą niosła, podjęłam wyzwanie.

Powiedziała Pani „wyzwanie”. To było rzeczywiście wyzwanie, a nie kolejny krok w karierze zawodowej?

– Dla mnie to było wyzwanie, bowiem jako sekretarz gminy brałam udział w posiedzeniach zarządu gminy i miałam pełną świadomość, z czym przyjdzie mi się mierzyć. Na posiedzeniach decydowano o przyszłości gminy. Podejmowano decyzje, które w zasadniczy sposób wpływały nie tylko na przyszłość Lesznówoli, ale także, i to było najistotniejsze, na życie mieszkańców.

Wiem, że to może zabrzmieć nieco patetycznie, ale świadomość, iż przez odrodzenie się samorządności w Polsce, głosami mieszkańców można wpływać na to, co się będzie w gminie działo, w jakim kierunku pójdzie jej rozwój, jaką zbudujemy przyszłość, była bardzo inspirująca. Przynajmniej dla mnie. Przekonanie, że można zmieniać świat, było bardzo ważnym motywem mojej decyzji.

Wtedy dostrzegłam szansę, że mogę wpływać na to, jaka będzie ta nasza gmina w przyszłości. Nowoczesna czy zapóźniona w rozwoju, piękna czy zaniedbana. Moja zgoda na kandydowanie była więc decyzją bardzo świadomą. Podjęłam wyzwanie. Wspólnie z samorządem będziemy mieli wpływ na te zmiany.

Miała Pani świadomość, że zmieniając znaną z produkcji warzyw, zaopatrującą pobliską Warszawę w nowaliki gminę, w której podstawowym zajęciem mieszkańców było rolnictwo – zmienia Pani ich życie?

– Miałam przede wszystkim świadomość, że Lesznówola ma doskonałą lokalizację. Jej sąsiedztwo z Warszawą, stolicą dużego państwa w centrum Europy, jest wielkim atutem. Zdawałam sobie sprawę, że te czynniki będą

w przyszłości wpływały na zupełnie inne niż dotychczas wykorzystanie terenu Lesznówoli. Będą im nadawały zupełnie inną funkcję.

Byłam też naszpikowana świeżą wiedzą ze studiów z zakresu polityki przestrzennej i przekonana, że oto mamy przed sobą swoje pięć minut na zmiany w zagospodarowaniu terenów. Na zmianę polityki przestrzennej.

Przypomnę, że wszystko to działo się w czasie, który nie był już dobry dla rolnictwa. Gospodarstwa padały. Zapotrzebowanie na dotychczasową produkcję lesznówolskich gospodarzy było coraz mniejsze. I wtedy przyszedł ten właściwy impuls. Pamiętam wiele zebrań wiejskich, podczas których przekonywałam mieszkańców, że nadszedł czas, by zmieniać plany zagospodarowania przestrzennego. Żeby zmienić przeznaczenie gruntów z rolniczych na grunty nierolnicze. Inwestycyjne.

Pamiętam jak dziś, że większość sołectw naszej gminy wyraziła aplauz dla pomysłu zmian, ale były też i takie, które powiedziały nie. Nie ma zgody. Obawiano się, że zmiany spowodują znaczący wzrost podatków, a tego nikt nie chciał. Skoro nie było zgody, to do dziś mamy taką sytuację, że po 18 latach część tych obszarów ma funkcję rolniczą i nie ma możliwości zmiany przeznaczenia na nierolniczą. Weszły nowe przepisy, ustawa o ochronie gruntów rolnych i leśnych jest bardzo rygorystyczna i tylko minister rolnictwa i rozwoju wsi w nadzwyczajnych sytuacjach może wydać zgodę na zmianę.

Tak więc było to nasze ostatnie pięć minut, które dzięki mądrości samorządu popierającego moją inicjatywę, zostało przez nas wykorzystane. I dzisiaj mamy prawdziwy powód do satysfakcji, że nasza Lesznówola jest zupełnie inną gminą. Stworzyliśmy nową szansę właścicielom gruntów, którzy mają dzisiaj wiele możliwości wykorzystania swojej własności.

Zapytam nieco przewrotnie. Lubi Pani piosenkę śpiewaną przez Marylę Rodowicz „Kolorowe jarmarki”?

– Bardzo lubię.

Tam jest taki fragment „Co straciłam z własnej woli, a co przeciw sobie – co wyliczę to wyliczę, ale zawsze wtedy powiem, że najbardziej mi żal...” Czego z perspektywy tych 18 lat jest Pani żal?

– Niczego nie żałuję. Jasne, że z punktu widzenia zawodowego przychodzi zawsze refleksja, że można było

*Z punktu widzenia
zawodowego przychodzi
zawsze refleksja, że można
było zrobić coś lepiej, zrobić
więcej albo inaczej.*



zrobić coś lepiej, zrobić więcej albo inaczej. Ale wtedy podejmowałam wraz z samorządem decyzje optymalne. Jestem przekonana, że to był dobry czas dla Lesznowoli i mam nadzieję, że nasi mieszkańcy mają podobne odczucia.

Z czego jest Pani najbardziej dumna?

– Z naszych mieszkańców, którzy są kreatywni i przedsiębiorczy, którzy wspierają mnie w wielu różnych działaniach. Jestem dumna z tego, że Lesznowola pięknieje z dnia na dzień. Że jest gminą znaną w Polsce, że jest atrakcyjna dla mieszkańców, że wielu nowych ludzi chce tu mieszkać i się tu osiedla. Że wielu przedsiębiorców chce lokować tu swój kapitał i rozwija w gminie swoje przedsiębiorstwa i prowadzi działalność gospodarczą.

Jestem dumna z tego, że mamy fantastyczną młodzież, bardzo dobrze rozwiniętą infrastrukturę społeczną. Wiem, powie pan, że to hasła – wobec tego przejdę do konkretów.

Gmina pięknieje, bo w sąsiedztwie kapuścianych pól powstają nowoczesne osiedla mieszkaniowe, piękna zabudowa rezydencjonalna, piękne ogrody. Budujemy nowe drogi, ścieżki pieszo-rowerowe, dbamy o infrastrukturę, budujemy wodociągi, przeprowadzamy kanalizację, ale także dbamy o edukację. Dobre, dobrze wyposażone szkoły z bardzo dobrą kadrą nauczycielską. Mamy dobrą opiekę zdrowotną, a także atrakcyjną ofertę kulturalną i sportową.

Przedsiębiorcy ustawiają się do nas w kolejce dlatego, że mamy aktualny plan zagospodarowania przestrzennego, co powoduje, że nie muszą przychodzić i prosić

o warunki zabudowy, tylko rysują projekty swoich marzeń, aplikują do starosty o pozwolenie na budowę i budują. To jest dla nich korzystne, bo znacznie skraca czas całego procesu inwestycyjnego.

Mamy nowoczesne stacje uzdatniania wody. Jesteśmy gminą, która dostarcza wodę mieszkańcom z własnych ujęć. Niebawem zakończymy proces kanalizacji gminy. Udało się nam wybudować trzy super nowoczesne oczyszczalnie ścieków. Są więc powody do dumy.

Ilu mamy mieszkańców w naszej gminie?

– Teraz, ponad 30 tysięcy. W czasie mojej pierwszej kadencji było połowę mniej. Ta dynamika przyrostu powoduje, że w naszej gminie przybywa dzieci, a to pociąga za sobą konieczność np. budowy i rozbudowy szkół. Teraz właśnie jesteśmy na etapie projektowania szkoły w Zamieniu. Mogę powiedzieć, że Lesznowola jest nieustannym placem budowy i zarządzam nie gminą a jej rozwojem.

Na pewno wiele z tych miejsc, o których Pani wspomina, uda się nam pokazać w kolejnych numerach miesięcznika, a na zakończenie naszej rozmowy chcę zapytać, co robi wójt Lesznowoli, gdy nie jest wójtem. Pani wójt po godzinach.

– Jeśli chodzi o czas, to doba wójta jest długa. Czasami bardzo długa. Jeśli mam chwilę dla siebie, to odpoczywam. Odpoczywam w sposób bardzo aktywny. Rower, spacer, wyjazdy z mężem, ale też mniej aktywnie. Lubię czytać na tarasie.

Zapytał mnie pan wcześniej, czy nie żałuję swojej decyzji sprzed kilkunastu lat, więc na koniec jeszcze raz powiem, że warto było ją podjąć. Jestem osobą, która ma ogromną satysfakcję z tego, co robi. Jestem szczęśliwa. Wprawdzie sprawiam wrażenie kobiety kruchej, delikatnej, ale warto pamiętać, że jestem spod znaku Byka i jestem osobą konsekwentną.

Dziękuję za rozmowę.

Andrzej Kwiatkowski

***Dzisiaj mamy prawdziwy
powód do satysfakcji, bo nasza
Lesznowola jest zupełnie
inną gminą.***



Koń potrafi ptakać

Koń jaki jest, każdy widzi, ale jaki naprawdę jest koń, wiedzą tylko prawdziwi koniarze.

Między nimi Ryszard Mordzelewski z Lesznowoli.



***W tej mojej końskiej przygodzie nigdy nie chodziło o pieniądze.
Po prostu kocham te zwierzęta. To jest miłość.***

Gdy ktoś jedzie drogą z Lesznowoli do Piaseczna ulicą Słoneczną, mija po drodze charakterystyczny wjazd do stajni Klubu Jeździeckiego „Poster”. Tu właśnie spotkaliśmy się, by porozmawiać, a tak naprawdę, by posłuchać człowieka, który pokochał konie. Wie, jak z nimi postępować, wie, jak z nimi rozmawiać, wie o nich wszystko. Konie to jego hobby.

Wspomnienia

Zanim zacznę opowiadać o koniach, wraca do przeszłości. Ważnej, bo świadczy ona o znaczeniu jakie przed laty, jakie za Gierka miała Lesznowola. Gmina, która

zaopatrywała Warszawę w warzywa. Zaopatrywała w nowalijki. To tu mieli swoje gospodarstwa nie lubiani przez władzę i ówczesną propagandę tzw. badylarze.

Kiedy za czasów Edwarda Gierka zaczęto wprowadzać do rolnictwa chłódnie, zamrażalnie, Lesznowola kwitła. Ja, tak jak inni tutejsi rolnicy, uprawiałem warzywa na swojej i dzierżawionej ziemi. Wspominam te lata z sentymentem. Rozwijała się produkcja dla Horteksu. Centrali Handlu Zagranicznego eksportującego nasze warzywa i owoce.

Pierwszy był szpinak. Na pierwszy rzut robiłem 100 ton szpinaku. Po szpinaku szły cukinia i jarmuż.

Potem kalafiory. Ziemia rodziła dwa razy. Produkcja szła jak na taśmie. Jedne warzywa schodziły z pola, a już wchodziły następne.

Teraz chłodnie stoją puste. A przecież kiedyś, we Francji kolejki ustawiały się po nasze truskawki i aromatyczne, wspaniałe warzywa i mrożonki. To się już nigdy nie wróci. A trzeba wspomnieć, że wtedy nie było takiej mechanizacji jak dziś. Ludzie sami konstruowali maszyny, ulepszali swoim sprytem i pracowali. Z sentymentem wspominam, jakie to pomysły mieli ludzie na wsi, żeby trochę ulżyć sobie w tej ciężkiej pracy. Dziś komputery, klimatyzacje, automaty. Tak gigantyczny skok cywilizacyjny, że trudno to sobie wyobrazić.

Moje konie

Mój ojciec zawsze miał konie. Ja mam konie i moi synowie mają konie. Czasem dosiadam konia, ale już tylko terenowo, na spacer. Synowie startują w zawodach i mają spore osiągnięcia i sukcesy. U mnie na każdej ścianie mieszkania wiszą obrazy, na których są konie. A przygoda ze stajnią, z większą liczbą koni zaczęła się zupełnie przypadkowo.

Jeździłem z synami na zawody, poznawałem ludzi, zawiązywały się przyjaźnie, powiększało się grono towarzyskie. Często jedni drugich pytali, masz konia, masz go gdzie trzymać? Byli tacy, co nie mieli gdzie, a ja miałem dużo wolnego miejsca i pomagałem. Do głowy mi na początku nie przyszło, żeby traktować to poważnie.



Po koleżeńsku przyjmowałem konie do wolnych pomieszczeń i tak się zaczęło. Różni ludzie, plejada aktorów, trzymali u mnie swoje konie.

Powstawały nowoczesne stajnie i kogo było stać do nich przenosił swoje konie. A ja trzymałem konie, by moi dwaj synowie mieli dobre zajęcie i mało czasu, by zejść na złą drogę. I tak zajęli się sportem. Startują w konkursach skoków. Moja córka też jeździła konno i miała bardzo dobre rezultaty. Teraz uczy jazdy konnej swojego synka.

W tej mojej końskiej przygodzie nigdy nie chodziło o pieniądze. Po prostu kocham te zwierzęta. To jest miłość.

Zawsze podziwiam jak pięknie na koniu wygląda kobieta. Kobiety są bardziej romantyczne. One widzą

piękno konia na tle przyrody. Kobieta pięknie siedzi w siodle. Bardzo pięknie.

Ja widzę konia jako zwierzę związane z człowiekiem od zarania dziejów. Człowiek na koniku dorastał. Mężniał. Kiedy się jeździ konno, nie trzeba chodzić na siłownię. Podczas jazdy wszystkie mięśnie człowieka pracują.

Teraz w pensjonacie mam niewiele koni. Piętnaście. Syn ma dziesięć. Ludzie bardziej zamożni pokupowali działki na Mazurach, pobudowali stajnie i tam pozabierali swoje konie.

Znam konie i znam się na koniach. Jest wielu takich, którzy mówią, koń jaki jest, każdy widzi. Ale koń to zwierzę z charakterem. Zwierzę inteligentne, mądre.



***Kiedy rano wchodzę
do stajni, poklepię
konia, głęboko zrobię
wdech i wydech, to
tak jakbym z siebie
wypuścił całe złe
powietrze. To samo
wieczorem. Po całym
dniu pełnym stresów,
wchodzisz do stajni,
pogłaszczesz konia,
poklepiesz, popatrzyś
na niego, pogadasz
i stres mija.***

Każde zwierzę, tak jak każdy człowiek, ma swój charakter. Weźmy Araba. On jest tak delikatny, że potrafi człowieka dotykać tak, jak mały, kochający właściciela piesek. Położyć głowę na ramieniu i patrzeć.

Kiedy się kupuje konia, od razu widać, jak on reaguje na kupca. Ma kontakt, czy nie ma. Szanuje człowieka jako istotę wyższą czy nie. Podporządkuje się, czy będzie chciał dominować.

Człowiek i koń

Człowiek głaszcząc konia, obcując z koniem, odpoczywa. Koń czterema nogami stoi na ziemi, czerpie z niej fluidy i odreagowuje. Powiem coś, co się wydaje nieprawdopodobne, ale ponieważ byłem tego świadkiem, mówię to z całą odpowiedzialnością. Dwóch chłopców z chorobą Downa jeżdżących u mnie konno, wróciło dzięki koniom do zdrowia. Kiedy pierwszy raz jeden z nich przyjechał do mnie z ojcem, nie potrafił wsiąść na konia. Dałem mu najspokojniejszego konia, a on się na niego gramolił. Powtarzał to i powtarzał, zaprzysiężnił się z koniem. Koń cierpliwie znosił tę jego nieporadność i w końcu zaczął jeździć. Dziś jest dorosłym człowiekiem i czasem wpada, by pojeździć.

Nawet jak się konia czyści, jak się go dotyka, to człowiek robi się taki wyluzowany. Odprężony. Te napięcia, które gromadzą się w człowieku uchodzą do konia i nogami spływają do ziemi.

Kiedy rano wchodzę do stajni, poklepię konia, głęboko zrobię wdech i wydech, to tak jakbym z siebie wypuścił całe złe powietrze. To samo wieczorem. Po całym dniu pełnym stresów, wchodzisz do stajni, pogłaszczesz

konia, poklepiesz, popatrzysz na niego, pogadasz i stres mija.

Rano gdy idę do stajni, konie słyszą moje kroki. Znają je. Jeszcze mnie nie widzą, a już witają rzeniem. Koń człowieka wyczuwa. Miałem niedawno taki przypadek. Byłem pod Przasnyszem, żeby kupić klacz. Stoi koło mnie kilku facetów, przygląda się chodzącym w stadzie koniom, wśród których jest ta klacz. W pewnym momencie ona odchodzi od stada i dochodzi do mnie. Dochodzi, stoi i mnie obwąchuje. Potem faceci chcą ją złapać. Nie daje się. Nikt jej nie może złapać. Trwa to jakiś czas i wreszcie ona powtórnie podchodzi do mnie. Pozwala się wziąć za uzdę i poprowadzić. Coś w tym musi być.

Albo inny przypadek. Wziął ode mnie konia jeden Szwed. Koń był wspaniały. Wszystko można było z nim zrobić. A Szwed mówi, że musi konia zwrócić, bo nie może sobie z nim poradzić. Chciał go zaoferować jakiejś swojej klientce, ale ta konia zwróciła, bo chciał kogoś ugryźć. Jest w boksie bardzo agresywny, nie mogą sobie z nim poradzić. Jaka jest tego przyczyna? Dość prosta. Są ludzie, którzy wchodzą do boksu i z miejsca budzą w koniu agresję. Koń nie znosi, jak ktoś się skrada, jak wykonuje jakieś niezrozumiałe gesty. Koń chce w człowieku, tak jak w stadzie koni, widzieć kogoś, kto przewodzi, kto dominuje. A jak już kogoś pokocha, to kiedy przyjdzie czas, że trzeba się rozstać, potrafi płakać.

Miałem konia, który po wypadku chorował, słabł i wiadomo było, że jego żywot się kończy. On też to wiedział i płakał. Płakał żywymi łzami, że to już koniec. Bo koń jest jak człowiek.

O koniach mogłbym opowiadać do rana i jeszcze bym wszystkiego nie opowiedział. ■

***Koń chce w człowieku,
tak jak w stadzie koni,
widzieć kogoś, kto przewodzi,
kto dominuje. A jak już kogoś
pokocha, to kiedy przyjdzie
czas, że trzeba się rozstać,
potrafi płakać.***



A man wearing a black cap, safety glasses, a black t-shirt, and a grey work vest is sitting in a workshop. He is holding a large, heavy-duty hammer with both hands. The workshop is cluttered with various tools, metal parts, and equipment in the background.

Żelazo ma duszę

Ta rodzina jest tu mocno zasiedziała. Tak mocno, że trudno określić, kiedy to się dokładnie zaczęło, ale z pewnością można powiedzieć, że Liwińscy są w naszej gminie od jakichś trzystu lat. Kawał czasu. Tradycja rodzinna kazała kolejnym pokoleniom Liwińskich zajmować się kowalstwem. Przywódcy klanu Liwińskich, w przeważającej liczbie – jak mówi Dariusz Liwiński – byli kowalami.

Pan Dariusz urodzony w Lesznówoli, a dziś mieszkaniec Magdaleny, też jest kowalem. Zresztą czy na pewno kowalem?

Pewne jest jedno, na wizytówce wydrukowane jest: Liwiński Dariusz – kowalstwo artystyczne – Kuźnia & Biuro. Taka to teraz „kuźnia”. Kuźnia z biurem, ale za to bez podkuwanych koni. Czasy się zmieniają, to i kuźnie zmieniać się muszą.

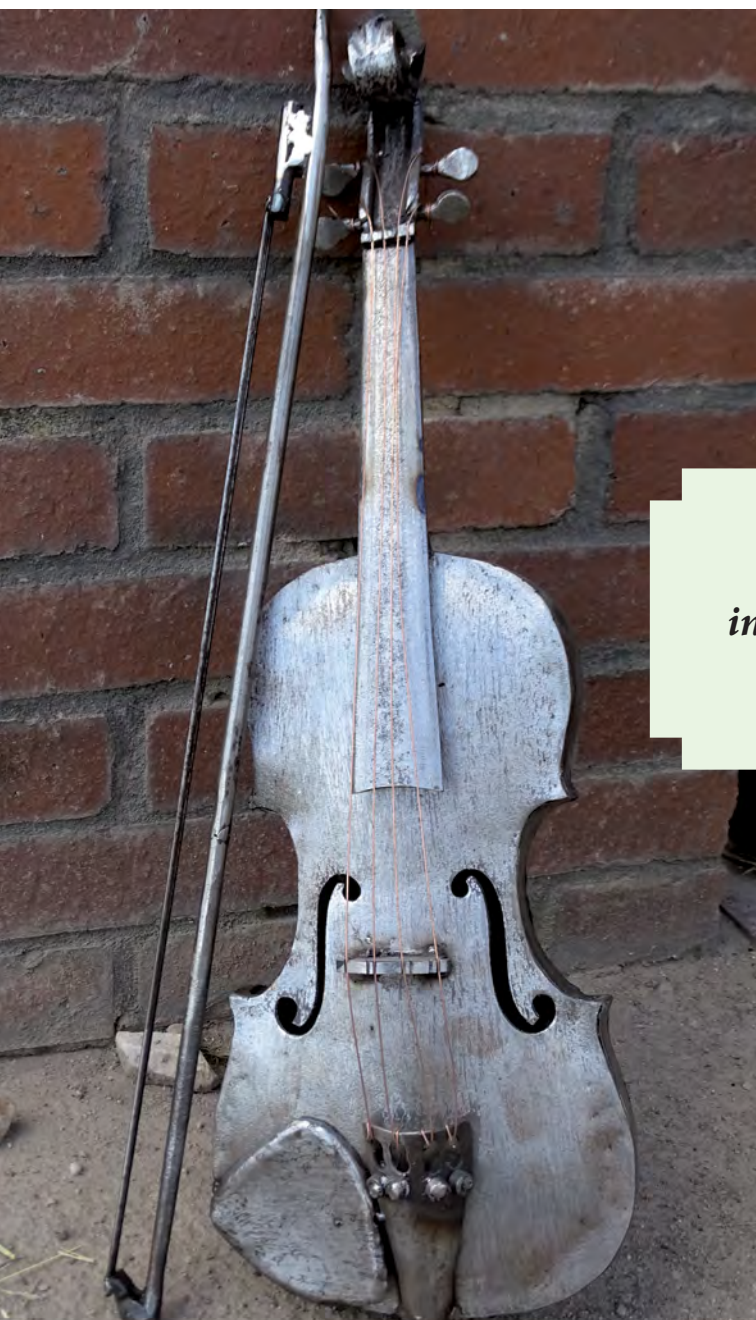
Dawni kowale, zamożni chłopcy, to klan Liwińskich. Kowalstwo dominowało w rodzinie do 1800 roku. Potem był przestój aż do tej pory. Pan Dariusz jako pierwszy w rodzinie po latach do kowalstwa wrócił.

Z wykształcenia graver-jubiler część nauki poświęcił kowalstwu i metaloplastyce. W konsekwencji wyboru zamiast zająć się złotymi i srebrnymi precjozami, zabrał się za żelazo...



Kuźnia w Janczewicach to ósme i własne miejsce, w którym pan Dariusz osiadł na swoim i w którym rozmawiamy o jego pracy, ale też o jego zamiłowaniu. Bo trzeba mieć szczęście, czy jak mówią niektórzy fart, żeby robić to, co się kocha. A wszystko zaczęło się w Lesznówoli. W kuźni wuja Wąsika, gdzie pan Dariusz był na praktyce.

W kuźni pana Dariusza wszystko robi się tak, jak to w kuźniach robiono przez stulecia. Kotlina, palenisko, koks i odkucia. Robi się tak, bo to daje ten poszukiwany efekt, choć dziś zapotrzebowanie na wyroby kuźni są inne.



*Jedni piszą książki,
inni śpiewają, komponują,
a my... kujemy.*





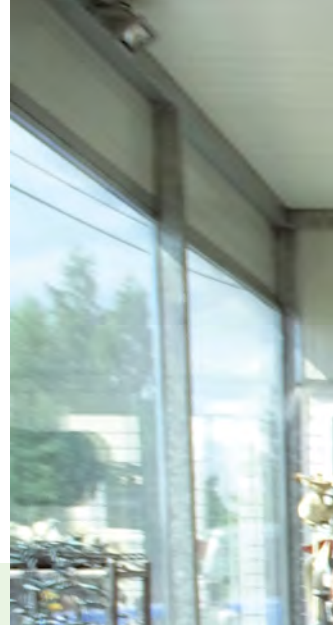
Meble, wszelkiego rodzaju metalowe ozdoby, uduchowione stoły konferencyjne, szafy, itp. Na to jest popyt. Ludzie takich rzeczy szukają. Konia do zmiany podkowy przed kuźnią nie zobaczymy. Teraz kowale jeżdżą do stajni i tam koniom zmieniają podkowy.

Żeby robić takie rzeczy jakich szukają dziś klienci, potrzebne są lata pracy i doświadczeń. Trzeba wiedzieć, co z metalu można wydobyć. Są klienci – mówi pan Dariusz, którzy przychodzą do nas z gotowym projektem, ale większość jest takich, którzy opowiadają o swoich wyobrażeniach i oczekują, że tym wyobrażeniom potrafimy nadać określony kształt, określony charakter.

Wykonujemy szkice, rozmawiamy. Projektujemy, pokazujemy i rozmawiamy. Pokazujemy materiał, mówimy co z niego można wyciągnąć i znowu rozmawiamy. Do skutku. I tak powstaje nasza metalowa rzeźba. Teraz np. wykonujemy rzeźbę dla wojska.

Tu przy okazji się pochwalę, że jedna z naszych rzeźb jest wystawiona w holu NATO i Wojska Polskiego.





Czy synowie pójdą w ślady ojca? Trudno powiedzieć. Dla nich to już nie jest kowalstwo. Pewnie będą ten rodzinny interes prowadzili, ale wprowadzą tu większą modernizację. Rozwój technologiczny idzie do przodu, choć stare, tradycyjne kowalstwo jeszcze długo pozostanie.

Starszy syn studiuje na Politechnice Warszawskiej, na wydziale konstrukcji i budowy maszyn. Młodszy jest w klasie matematycznej liceum i zapowiada się bardziej na myśliciela, więc pewnie kowala z niego nie będzie.





*Trzeba mieć szczęście,
czy jak mówią niektórzy fart,
żeby robić to, co się kocha.
A wszystko zaczęło się w Lesznowoli.
W kuźni wuja Wąsika.*

Co takiego jest w kowalstwie? Dobre pytanie. Kowalstwo daje wielką satysfakcję. Bo to ciężka praca, ale można coś fajnego ludziom przekazać. Można przekazać swoje myśli i swoje odczucia. Jedni piszą książki, inni śpiewają, komponują, a my kujemy. ■

Choć było to ładnych parę lat temu, pamiętam jakby to było dziś. Wchodzę do sklepu pani Oli – niestety dziś już został tylko budynek – robię zakupy, rozmawiamy jak zwykle i nagle pani Ola wyskakuje z wiadomością. A wie pan, kto był dzisiaj w sklepie? – Pojęcia nie mam – odpowiadam szczerze, a pani Ola na to. – Na pewno pan go zna! On też występuje w telewizji. – No więc kto to był, kogo znam? – pytam zniecierpliwiony.

Ten z Leszczy

Ten, co to śpiewa taki przebój – kombinuj dziewczyno, bo lata ci miną, czy coś podobnego – odpowiada pani Ola. – Miecznikowski? Zgaduję. A co on tu robi? – Jak to co robi – odpowiada pytaniem na pytanie pani Ola. Przecież kupił działkę za Jankiem Ziemiakiem, pobudował się i tu mieszka.

Minęły lata, jakoś nie było okazji się spotkać. Ludzie załatani, wieś niby nie za wielka, ale gdzie jej tam do tej, kiedy ulicą Wojska Polskiego krowy pani Oli wracając z pastwiska wzbijały tumany kurzu, ciągnąc po ziemi łańcuchy.

Mam robić pierwszy numer naszego miesięcznika „moja Lesznawola”, więc popularnego i lubianego muzyka nie może w nim zabraknąć, pomyślałem i zatelefonowałem z propozycją spotkania.

Zgodził się. Miał chwilę czasu, wpadł do mnie, zaczęliśmy rozmawiać. Ale to nie był wywiad, więc nie spodziewaj się Drogi Czytelniku, że zasypałem gościa gradem pytań. Nie. Po prostu sobie pogadaliśmy i pewne wątki tej rozmowy postaram się opowiedzieć, nie naruszając broń Boże prywatności, tak słusznie przez artystę chronionej.

Pszczoły

Tego pewnie nie wie nikt, albo bardzo wąskie grono przyjaciół artysty. Od tej chwili jednak będą o tym wiedzieli Czytelnicy „mojej Lesznawoli”. Na pytanie co pan dziś robił, Maciej Miecznikowski wyjął telefon i pokazał zdjęcie. Na nim – nie uwierzcie. Rój pszczół. Nim artysta sprowadził rój do ula, zrobił mu pamiątkowe zdjęcie.

Uwierzcie?

Maciej Miecznikowski, muzyk, piosenkarz, multiinstrumentalista, zna się na pszczołach i ma ule. Cztery.

Trzy były zasiedlone, a ten czwarty właśnie został zasiedlony pokazanym na zdjęciu rojem.

– Bardzo lubię to zajęcie – mówi. – Praca przy pszczołach mnie uspakaja. Uwalnia od stresu. Przecież ja jestem chłopak ze wsi. Wprawdzie z kaszubskiej, ale ze wsi. Jedną wieś zamieniłem na drugą. Brakuje trochę morza, trochę do niego daleko, ale decyzji nie żałuję. Myślałem jakby tu morze przesunąć, ale niestety się nie da.

Wracamy do pszczół. Pytam, jak to się zaczęło, skąd to zainteresowanie pszczołami. I jest odpowiedź.

– Był raz u mnie kolega – opowiada Maciej Miecznikowski. – Popatrzył, połaziliśmy trochę po okolicy i on mówi. Boże co za teren, jak świetnie w tym Władysławowie. Jakie tu cudowne dla pszczół pożytki – bo to się tak nazywa. Pszczoły by miały raj. Postaw ule, a ja ci pomogę – zadeklarował, więc postawiłem. Najpierw jeden, potem dwa, trzy, a teraz mam cztery. W wolnych chwilach chętnie krzątam się przy ulach. Mnie to relaksuje, wycisza i coraz bardziej interesuje. Dużo o tajemniczym świecie pszczół czytam, wiele się dowiaduję i coraz bardziej jestem tym pszczelim światem zafascynowany. Zafascynowany tym, jak to jest wszystko zorganizowane, poukładane, kto tym wszystkim zarządza. Wiele moglibyśmy się od takich pszczół nauczyć. Gdybyśmy byli takim rojem, to byśmy byli zorganizowani. Byśmy wiedzieli, że nie ma chwili do stracenia, że cały czas musi się coś dziać. Fantastyczne.

Czytam i czytam, niby wiele już wiem, a do końca nie rozgryzłem, jak to wszystko tam działa. Efekty są, miód jest... Przeczytałem kiedyś, że jeśli rój jest mały i daje np. kilogram miodu, to kiedy będzie cztery razy większy, nie wyprodukuje cztery razy tyle miodu, tylko czterdzieści razy tyle. To znaczy, że jeśli jest ich więcej,



fot. Marek Podolczyński

to są jeszcze bardziej pracowite i wydajne. A u nas? W naszym roju? Jak ludzi więcej, to czterech stoi, a jeden robi. Coraz trudniej ich zorganizować i wydajność mniejsza. Nie można wziąć przykładu z pszczół?

Moja Lesznowola

– Jak to się stało, że trafiłem do tej wsi? Przypadek. Podobnie jak u pana. Akurat urodziło się nam drugie dziecko. Mieliśmy w Warszawie małe mieszkanko i szukaliśmy z żoną większego. Najpierw chciałem dokupić sąsiednie mieszkanie i powiększyć swoje, ale właścicielka podała taką cenę, że przysiedliśmy. I wtedy moja mama, stara Kaszubka powiedziała – kup sobie działkę. Jak będziesz miał działkę to i dom zbudujesz. No i zacząłem się rozglądać.

W radio było pamiętam grane „Lato z radiem”, kiedy spotkałem kolegę, a on mówi, jak szukasz działki, to może zajrzyj do wsi, w której ja mieszkam. On tu też mieszka. Wincenty Pipka. I zająłem.

Kupiliśmy działkę, postawiliśmy dom i w ten sposób wróciłem na wieś. Nie żałuję.

Nie chce mi się już podróżować. Niewiarygodne, ale z samymi „Leszczami” zagrałem ponad osiemset koncertów. A jeszcze koncerty solowe, koncerty z Rubikiem, prace w teatrach. Proszę policzyć ile to przejechanych kilometrów, ile zmienionych hoteli. Jak tak sobie policzę, to koncertując z różnymi artystami ponad cztery lata przemieszkalem w hotelach. Teraz powiedziałem dosyć.

Mam swój dom na wsi. Tu mieszkam. To mój azyl. To moja prywatna twierdza. Dobrze mi tu. Teraz pracuję więcej w teatrze, stałem się bardziej wybredny i więcej czasu poświęcam dzieciom. One mnie potrzebują i ja to wiem. Staram się być, kiedy mnie potrzebują. Przyznam się, że cały czas uczę się tej roli ojca. Robię postępy. Za chwilę jadę po córkę do szkoły.

Z dzieciństwa pamiętam i to chcę swoim dzieciom zaszcześcić, że moja mama, która była nauczycielką w szkole wiejskiej, zawsze miała w ogródku warzywa. Wysyłała nas do tego ogródka po pietruszkę, po marchewkę, rzodkiewkę i inne warzywa. W ogródku były porzeczki, jabłka zrywaliśmy z drzewa i to bardzo chciałbym moim dzieciom też zapewnić. Dlatego mam taki ogródek i bardzo lubię w nim robić. To mnie też bardzo dobrze nastraja, bo to jest taka sprawa, której nie ma w zawodzie muzyka. Tu jest od razu efekt. Wyrwie się chwasty i od razu widać efekt. A muzyk, gitarzysta musi czasem pół roku pracować, żeby tę sprawność, czyli ten efekt na gitarze uzyskać. Kontakt z ziemią generalnie dobrze mi robi. Jestem mniej nerwowy, miły dla żony, po prostu lepszy.

*fot. Marek Podolczyński (Maciej Miecznikowski
i Lucjan Sierpowicz – trębacz z zespołu Leszcze)*



fot. Marek Podolczyński



moja Lesznawola





Moja praca

– Co u mnie w pracy? W Krakowie występuję w teatrze. Jest to sztuka „Kolacja na cztery ręce” koprodukcja Teatru Kamienica z Warszawy i Teatru Stu z Krakowa. Cały czas promuję też swoje rzeczy. Wróciłem do grania, bo przecież jestem muzykiem. Za kilka dni jadę do Kociewia promować swoją solową płytę. No i promuję wspaniały album „Tribute To Nat King Cole”, czyli płytę, którą zrobiliśmy razem z Krzysią Górniak, mieszkanką naszej gminy. Na płycie jest 11 piosenek, które śpiewam z towarzyszeniem gitarzystki jazzowej Krzysii Górniak, kontrabasisty Pawła Pańty, perkusisty Adama Lewandowskiego i zespołu Atom String Quartet. Mój kalendarz do czerwca przyszłego roku jest już wypełniony.

Sam pan rozumie, jak wobec tego potrzebny mi pobyt na mojej działce, wśród rodziny, pszczoł, ogrodu. Na mojej wsi.

Andrzej Kwiatkowski

fot. Marek Podolczyński



Miło siedzieć na werandzie przy szklaneczce jabłkowego soku. Pani domu podaje szarlotkę. Dokoła jabłoniowy sad. Sok jest zimny, słodki, zawiesisty, mętny. Zachwycający. To sok z owoców bardzo słodkiej odmiany Szampion z dodatkiem soku innej, trochę kwaśnej odmiany. Z samych Szampionów byłby za słodki.

NAD SZKLANECZKĄ JABŁKOWEGO SOKU

To nie jest zagłębie sadownicze, gdzieś pod Warką czy Grójcem. To sad państwa Anny i Jana Gocelów w Mrokwie.

Ciekawe ilu mieszkańców gminy Lesznowola wie, że mamy własne zagłębie sadownicze? Okazuje się, że mamy. Właśnie w Mrokwie.

Pan Jan jest z wykształcenia dziennikarzem. Telewizyjnym i radiowym. Radiowym do dziś. Co robi w sadzie? Odpowiedź jest banalnie prosta. Zachwyca się wiosną, gdy zakwitają jabłonie i zachwyca jesienią, gdy na drzewach dojrzewają nabierając kolorów owoce. I ta odpowiedź musi nam wystarczyć. Musi, bo ona jest prawdziwa.

Maj. W sadzie państwa Gocelów kwitły jabłonie. Równe szeregi takich samych drzew, podcięte zgodnie

z nowoczesną sztuką sadowniczą były obsypane kwiatami. Jesteśmy w czerwcu. Po kwiatkach nie ma śladu, za to na gałązkach jabłoni widać już małe, kształtne jabłka. Odmiana Szampion przyszła do Polski z Czech. Pochodzi ze skrzyżowania odmian „Golden Delicious” i „Koksy Pomarańczowej”. Odmianę Szampion, czy jak kto woli Champion, znajdujemy w sadzie państwa Gocelów.

Przy szklaneczce jabłkowego soku, którym częstuje pani Anna, spróbujemy wyjaśnić, jak się zaczęła ta przygoda dziennikarsko-sadownicza.

– Najpierw ustalmy, która była pierwsza. Sadownicza czy dziennikarska? Jednak zdecydowanie sadownicza. Była pierwsza, bo w jakimś sensie pochodzi z rodziny sadowniczej. Jeden z moich dziadków był sadownikiem. Miał w 1936 roku sad

w miejscowości Jabłonna.

Na trzy lata przed drugą wojną światową, mój dziadek miał w tamtych okolicach jeden z pierwszych sadów jabłoniowych. Nie wiem, jak wpadł na ten pomysł, ale pamiętam, że jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ten sad był. Nie był to wielki sad, jakieś dwa hektary, ale jego produkcja wystarczała na dobre utrzymanie w warunkach tamtego ustroju.

Moja żona też pochodzi z podobnej rodziny. Może nie o tradycjach sadowniczych, ale jej tata miał sad w Jankach.

Tak rzeczywiście – dopowiada pani Anna. Tata miał pierwszy i chyba jedyny sad w Jankach, bo to nie był rejon sadowniczy. Tam królowały warzywa. Sad o powierzchni jednego hektara w 1968 roku to było dużo.



Potem tata powiększył powierzchnię, sad przejął brat, ale jest to nadal jedyny sad w Jankach.

Skąd wzięliśmy się w Mrokowie?

W 1987 roku – mówi pani Anna – moi rodzice kupili to gospodarstwo. Gospodarstwo z bardzo starym sadem. Nie pamiętam dokładnie, jak to było, ale kilku gospodarzy trzech czy czterech w tej okolicy założyło sad. Wspólnie ogrodzili teren i pod

nadzorem prof. Szczepana Pieniążka prowadzili sad. I od jednego z tych gospodarzy, który sprzedawał sześć hektarów, my kupiliśmy stary sad.

Stary w tym znaczeniu – mówi pan Jan – że my już drugi raz wymieniamy w sadzie nasadzenia. Dziś jest już inna technika i inna technologia uprawy. Zresztą widzicie te nowe nasadzenia. U dziadka były wielkie drzewa. Rozłożyste Kronselski, wielkie Kosztele, Antonówki, Landsber-

ska. Dziś praktycznie tego nie ma. Może tu i ówdzie znajdzie się jeszcze drzewo przy jakiejś zagrodzie, ale już bez znaczenia towarowego.

Dziś mamy nasadzenia przemysłowe. Na jednym hektarze półtora czy ponad dwa tysiące drzew, w szeregach jak pod linijkę. Mamy pięć i pół hektara, a na hektarze średnio 1600 drzew. A nie tak jak dawniej w rozstawie sześć na sześć metrów drzewo.

***Sadownictwo trzeba lubić.
Nie mówię kochać, bo to za duże
słowo, ale lubić – mówi pan Jan.
Kiedy się lubi, to ten wielki trud
jakiego wymaga pielęgnacja
sadów, jest mniej odczuwalny.***

Odmiany, które są w naszych sadach w większości pochodzą z Holandii. Na rynku mamy odmiany owoców, które pochodzą z Holandii, Argentyny, Włoch. Odmiany uniwersalne. Jedyną czysto polską odmianą jest Ligol. Otrzymana ze skrzyżowania odmian „Linda” i „Golden Delicious”. Po wejściu do UE, musieliśmy przyjąć standaryzację owoców. To też trochę zabiło te nasze stare odmiany.

Nawet ci, którzy mają Kosztela czy Malinową, wiedzą – wtrąca pani

Anna – że nie są to takie odmiany jak dawniej. Są to odmiany szczepione, które ani wyglądem, ani smakiem nie dorównują tamtym starym. Malinówka rosnąca na wielkim rozłożystym drzewie hodowanym na podkładce Antonówki, to była Malinówka.

Sadownictwo trzeba lubić.

Nie mówię kochać, bo to za duże słowo, ale lubić – mówi pan Jan. Kiedy się lubi, to ten wielki trud jakiego wymaga pielęgnacja sadów,

jest mniej odczuwalny.

Będę upierał się przy tym, że sad ma się dlatego, że kwitnie, i że owocuje. Nie, nie dlatego, że jak owocuje, to sadownik liczy ile zarobi. Kto tak liczy, popełnia błąd. Powinien zająć się inną pracą, na której można zarobić.

Sad, kiedy kwitnie i kiedy owocuje jest piękny.

Po prostu piękny. To prawda, że wtedy jest najtrudniej, bo i na wiosnę, kiedy sad kwitnie, i na jesieni, kiedy przychodzi pora



SZARLOTKA PANI ANI

Jak chcemy bardzo szybko, to sobie jabłuszka obieramy, zesmażamy, dodajemy cukru waniliowego i cynamonu. Ja nigdy nie zesmażam jabłek mocno, tak żeby się rozpadły, tylko leciusiutko, tak żeby zachowały kształt kosteczki, na którą je pokroiłam. A ciasto? 15 dag margaryny, 9 łyżek cukru, 2 szklanki mąki, 2 jajka, półtorej łyżeczki proszku do pieczenia. Zagniatamy i to właściwie wszystko. Robi nam się taka kruszonka. Część tej kruszonki kładę na spód, potem jabłka, resztą posypuje wierzch. Wkładam do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. 45 minut i wystarczy.



zbiorów, trafiają się przymrozki. Kiedy drzewa są obsypane kwiatami, przymrozek potrafi w ciągu jednej nocy zniszczyć całą uprawę. Z kolei kiedy jesienią padają deszcze owoców się nie zbiera, tylko czeka. Nagle przychodzi przymrozek i już nie ma po co zbierać. Mieliliśmy taki rok, że owoce przemarzły. Natychmiast spadła cena skupu. Jabłka, za które w hurcie płacono złotówkę za kilogram, warte było zaledwie dwadzieścia groszy. Przed naszą

bramą stały na paletach skrzynki z jabłkami, których nikt nie chciał. 100 ton owoców czekające na to, żeby je ktoś odebrał. Nie kupił. Odebrał. Jabłka tzw. przemysłowe sprzedawaliśmy po osiem groszy za kilogram. Średnio zbieramy w naszym sadzie około 200 ton jabłek. Przez te wszystkie lata przekonaliśmy się, że niezależnie od urodzaju, zawsze są te same pieniądze. Niektórzy cieszą się, że jest dobry rok, będą duże zbiory i dużo pieni-

dzy. To niestety nie jest prawda. Bo jak jest dobry rok, to nie ma dobrej ceny. Cena spada.

Mój dziadek zawsze mówił – nie przejmuj się. Jak przyjdzie do sprzedaży, zawsze zarobisz tyle samo. I to się co roku sprawdza. Ale nie mówmy o tym.

Jeszcze soku? – proponuje pani Anna. – Chętnie, bo pyszny. ■



Mój dziadek zawsze mówił – nie przejmuj się. Jak przyjdzie do sprzedaży, zawsze zarobisz tyle samo.



CISZA W ULU

Pamiętacie z dzieciństwa? Bajka na dobranoc, Zbigniew Wodecki i pszczołka Maja. Piosenkę tę śpiewali i mali, i dorośli, a kiedy zaczynała się bajka na dobranoc, wszyscy co mieli telewizory przed nimi siadali. Za oknami słyszeć było tylko to:



„Tę pszczołkę, którą tu widzicie, zowią Mają,
Wszyscy Maję znają i kochają.

Maja fruwa tu i tam,

Świat swój pokazując nam.

Dziś spotka Was maleńka,

zwinna pszczołka Maja,

Śmiała, sprytna, rezolutna Maja

Mała przyjaciółka Maja

Maju, (Maju) Maju, (Maju)

Maju coś zobaczymy dziś?”

Dziś bajki o pszczołce nie będzie.
Będzie za to o prawdziwych pszczołach i prawdziwym pszczelarzu.

KAROL ZIMNICKI PSZCZELARZ Z CERTYFIKATEM.

Było to pod koniec maja. Przekwitły leszczyny, jabłonie i rzepaki. Mimo sprzyjającej pogody nie widać wśród kwiatów uwijających się pszczół. Nie słyszeć ich brzęczenia. Pszczelarz Karol Zimnicki, który jest na tyle dobry w tym co robi, że otrzymał prawo, by swoje miody znakować banderolą (PZP) Polskiego Związku Pszczelarskiego oraz imienną etykietą, a to znaczy, że ze swojej pasieki, w której ma 50 uli, otrzymuje miód najwyższej jakości wytworzony w sposób naturalny na terenie Polski, potwierdził to, o czym wielu pszczelarzy wie. Pszczoły giną. I nie jest to tylko zmartwienie naszych pszczelarzy.

PSZCZOŁY GINĄ. Wystarczy trochę poszukać w Internecie, mówi pan Karol, by się dowiedzieć, że pszczoły giną miliardami i to na całym świecie. W Stanach Zjednoczonych zimy 2007 roku nie przeżyło 60 proc. rojów,

w niektórych stanach wschodnich i południowych nawet 90 proc. We Francji, Szwajcarii, Niemczech, Portugalii, Grecji – jedna czwarta. W Polsce nieco mniej. Ginią pszczoły w Azji i Ameryce Południowej. Kataklizm objął cały świat.

W wielu krajach prowadzone są badania zmierzające do odkrycia przyczyny tego zjawiska. W wyniku badań i obserwacji sporządzono listę substancji i produktów, które szkodzą pszczołom. Jest wśród nich niemal cała rolnicza chemia. Środki owadobójcze, środki ochrony roślin oraz wszelkie środki chemiczne, mające zastosowanie w rolnictwie.

Tak czy inaczej wychodzi na to, że winny jest człowiek. W pogoni za plonami nikt nie patrzy, jak wygląda pszczele kalendarz, jak wygląda ich harmonogram pracy i z których roślin zbierają miód.

Setki hektarów tych samych upraw nie sprzyjają pszczołom. Zabójcze dla pszczół mogą być również



zmiany klimatyczne, susze, łagodniejsze zimy sprzyjające aktywności pasożytów, a jednocześnie skłaniające pszczoły do wcześniejszego opuszczania uli, gdy nie ma jeszcze wystarczająco dużo kwiatów.

Jak informują media, naukowcy niemieccy szukając przyczyn padania pszczół, doszli do wniosku, że winne mogą być masowo używane dziś telefony komórkowe. Zakłócają one orientację pszczół i uniemożliwiają odnajdywanie drogi, ponieważ pszczoły posługują się falami takiej samej długości do komunikowania się między sobą. Badacze podejrzewają także, że telefony komórkowe zmniejszają odporność pszczół na pasożyty.

Pszczoły chorują. Niszczy je najgroźniejsza nie tylko w Polsce, ale prawie na całym świecie choroba pszczół. Warroza. Jest to choroba, która występuje w pasiekach na wszystkich kontynentach oprócz Australii. To ona powoduje ogromne straty rodzin pszczelich. Konieczność ciągłego zwalczania tej choroby jest przyczyną wzrostu kosztów prowadzenia pasiek.

GROŹNE SŁOWO WARROZA. Warroza pojawiła się w Europie Południowej na początku lat 70. XX wieku.

W 1980 w okolicach Lublina zaobserwowano pierwsze ognisko warrozy w Polsce. Po czterech latach choroba ta opanowała już cały kraj i do dziś jest obecna we wszystkich polskich pasiekach.

Pszczoły nie potrafią się bronić przed warrozą. Nie mają też mechanizmów obronnych uniemożliwiających zakażenie. Pasożyta wywołującego chorobę – roztocze *Varroa destructor* – można porównać do pszczelej pchły. Odżywia się on krwią owada i wywołuje warrozę. Jeżeli odpowiednio szybko i skutecznie nie zaczniemy leczenia, rodzina pszczela zginie. Na nieszczęście ta „pszcze-la pchła” nie posiada naturalnych wrogów mogących ograniczyć jej rozprzestrzenianie. Nawet wyleczona z warrozy rodzina pszczela, po pewnym czasie ulega ponownemu zakażeniu, a nieleczona ginie.

Zresztą choroby tej nie leczy się łatwo. Pasożyt atakuje bowiem nie tylko dorosłe osobniki, ale także czerwie. To stadium rozwojowe, gdy pszczoła jest jeszcze larwą i przebywa w zasklepionej komórce plastra.



MIÓD RZEPAKOWY

Miód o największej ilości glukozy i aminokwasów

Smak: bardzo słodki

Barwa: tworzy kompozycję jasnych barw – od białej po kremową.

Podaje się go osobom wymagającym nagłego wzmocnienia. Jest zalecany i stosowany między innymi przy schorzeniach żołądka, dwunastnicy, wątroby, serca, nerek i dróg moczowych.





MIÓD

WIELOKWIATOWY
Charakteryzuje wielka różnorodność w zależności od terminu i występujących na danym terenie roślin.

Barwa: bardzo różnorodna – od jasnokremowej do herbacianej. Zwykle miody wiosenne są jasne a letnie ciemne. Ze względu na łagodny smak miód wielokwiatowy polecany jest dla dzieci.

Utrudnia to walkę z chorobą, gdyż przez zasklepienie środki mogące pasożyta zniszczyć, nie przedostają się do komórki.

Poza tym leczenie warrozy można przeprowadzać tylko, gdy pszczoły nie zbierają miodu. Inaczej mogłoby dojść do jego skażenia lekami do zwalczania Varroa.

Drugim powodem jest stosowanie nasion modyfikowanych, tzw. gemo. Amerykanie zaczęli siać nasiona modyfikowane i okazało się, że w Stanach Zjednoczonych pszczoły ginęły masowo.

JEST PIERWSZY TEGOROCZNY MIÓD. Połowa czerwca.

W maju Karol Zimnicki mówił, że jest goły i wesoły, bo miodu na sprzedaż już nie ma i wypić nie ma co, bo miód pitny też już się skończył. W połowie czerwca jest wesoły, bo ma już miód. Profesjonalnie przygotowane etykiety i nakrętki na słoikach ze złocistym miodem prezentują się bardzo zachęcająco. Widać, że pan Karol zadbał o każdy szczegół w ekspozycji pszczelego produktu.

Hodowla pszczoł nie jest trudna. Najważniejszy jest, mówi pan Karol, tzw. „ogródek pszczelarski”. Trzeba wiedzieć, co ma być w ogródku, co kiedy kwitnie, bo pszczoła musi z czegoś zbierać. Siejemy rzepak zwykły, bo tego „gemo” pszczoła nie ruszy. Ja mówię, że pszczołom trzeba stworzyć taśmę kwitnącą roślin.



GRZANIEC RODEM Z PASIEKI

SKŁADNIKI

0.5 l jasnego piwa lub czerwonego wina (koniecznie półsłodkiego lub półwytrawnego), 2 żółtka, rodzynki, migdały (całe bez skórki), skórka z 1/4 pomarańczy (wysuszona i starta), 80 g przyprawy do grzańca (lub cynamonu, goździków, imbiru, kardamonu), 2 łyżki miodu (gryczanego lub wielokwiatowego)

Żółtka utrzyj z przyprawą. Wino lub piwo zagrzej i stopniowo dolewaj do żółtek, stale mieszając. Skórkę z pomarańczy, rodzynki i migdały gotuj przez 0,5 godziny w 250 ml wody na wolnym ogniu. Wino lub piwo z żółtkami ponownie podgrzej, nie doprowadzając do wrzenia. Dodaj wodę z rodzynkami, skórę z pomarańczy i migdały oraz miód (można też dodać wodę bez bakalii, jeśli nie lubisz). Grzaniec jest doskonały na długie, chłodne wieczory. Najlepiej smakuje podawany w kamionkowych naczyniach.



Ja zawsze sięję rzepak ozimy. Dostajemy z niego miód bielutki jak śnieg. Potem na taśmie jest akacja. Miód z kwiatów akacji. Po akacjach w lipcu zakwitają lipy. A propos lip. Kiedyś myślałem, że lipa jest jedna. Lipa to lipa. A jak się czytałem w poradniki, to się okazało, że lip jest ze dwadzieścia a może nawet trzydzieści. I one kwitną przez dwa tygodnie. Jedna po drugiej. I mamy miód lipowy. Potem jest miód wielokwiatowy.

I takie miody są z Barci Marysińskiej Karola Zimmnickiego. ■



OKRĘT NA KOTWICY

Tytuł jest intrygujący. Co ma wspólnego okręt na kotwicy z Lesznówolą? Nic. Ale, kiedy przeczytasz Czytelniku ten tekst, dowiesz się, kto w naszej gminie i w jakich okolicznościach takiego określenia na zobrazowanie fragmenty swojego życia wśród morza kwiatów użył.



Ulica Słoneczna prowadzi przez Lesznówolę do Piaseczna. Kto jeździ tędy, wszystko jedno w którą stronę, musi naprzeciw stawu w Lesznówoli zauważyć kolorowe kwiaty przy wejściu na podwórko i tablicę z napisem „Surfinie”.

Tu zawsze jest kilka samochodów. Ludzie wnoszą do bagażników kartony z wybranymi przez siebie sadzonkami kwiatów. W tunelu pod folią, wśród setek barwnych sadzonek pani Ewa Białkowska. Wszyscy, którzy znają panią Ewę z dawnych lat, mówią o niej pani od matematyki. Nie pani od kwiatów. Pani od matematyki.

– Nie wiedziałam, że tak o mnie mówią. To pewnie moi uczniowie z czasów, gdy uczyłam matematyki w podstawówce w Lesznówoli. Dawne to czasy – mówi pani Ewa.

Nas interesuje, jak to się stało, że pani od matematyki zajęła się kwiatami.

– Muszę zacząć od tego – mówi pani Ewa – że w dzieciństwie ja, jak wiele dzieci gospodarzy z Lesznówoli, wakacje spędzałam na polu. Rodzice mieli gospodarstwo, każda para rąk była przydatna i dzieci musiały pracować.

Bardzo mi to nie odpowiadało. Bardzo. Byłam przekonana, że nigdy

tak ciężko jak moi rodzice pracować nie będę. A już na pewno nie będę na wsi, nie będę pracowała w polu.

Ja nawet nie jestem wykwalifikowanym ogrodnikiem. Studiowałam na wydziale mechaniki precyzyjnej na Politechnice Warszawskiej, jestem inżynierem i... No właśnie, nawet nie potrafię tego tak dokładnie wytłumaczyć, jak to się stało, że zajęłam się kwiatami.

Było to chyba tak, że mój mąż, inżynier elektryk, który właśnie kończył studia doktoranckie, został poproszony przez zaprzyjaźnionych ogrodników, by podczas ich urlopu woził ich kwiaty na giełdę.



Woził i każdego dnia przywoził z giełdy równowartość swoich miesięcznych poborów.

Czytaliśmy wtedy namiętnie „Przegląd techniczny”, gazetę po którą ustawiały się przed kioskami kolejki i my, technokraci czytając o innych technokratach, którzy podjęli całkiem inne życiowe wyzwania, zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej. I wtedy coś zaiskrzyło. Dostaliśmy od rodziców do dyspozycji działkę. Jeździliśmy trochę do pracy przy zbiorach truskawek w Szwecji i coraz częściej myśleliśmy o tym, czy nie wrócić na wieś.

Dostaliśmy od rodziców jeden pokój, ja podjęłam pracę w szkole podstawowej w Lesznówoli, mąż w Warszawie w liceum na Polnej. Wracał codziennie zdruzgotany, bo w liceum humanistycznym musiał uczyć fizyki. Uczyliśmy i rozpoczęliśmy budowę pierwszych szklarni.

Ze złomowiska w Kielcach wybieraliśmy elementy konstrukcyjne zwane popularnie „zardzewiałką”.

Tak zresztą robili wszyscy okoliczni ogrodnicy. Zamiast szkła, na które nie było nas stać, w oknach szklarni była folia. I tak powoli się zaczęło.

Zaczęliśmy pamiętać od frezji. Kupiliśmy pierwsze frezje od Holendrów, i dobrze się wstrzeliliśmy w rynek, bo jako pierwsi robiliśmy tzw. frezję odmianową. Inni kupowali tzw. mix, czyli wszystkie kolory w pęczku, a my kupowaliśmy takie pęczki, w których była określona liczba frezji jednego koloru. Np. 15 żółtych, 15 czerwonych, 15 białych. W każdym pęczku inne zestawy piętnastek. Bardzo dobrze towar schodził. Raz było lepiej, raz gorzej, ale tak to się zaczęło.

Robimy to już tyle lat, ale ja zawsze żałuję tej decyzji. W drugim życiu chciałabym mieć wolny zawód, dużo wolnego czasu i jakiś talent. Być np. wybitną śpiewaczką, jeździć po świecie i jakoś się realizować. Ja tu jestem jak okręt na kotwicy.

Jak mnie pytają, ile pali mój samochód, to ja odpowiadam – nie wiem.

Ja tu dojeżdżam na ssaniu.

Takie pokonuję odległości. Jak się gdzieś dalej rozpędzę, to jest to wielkie wydarzenie. Bo moje codzienne podróże to szklarnia – dom, dom – szklarnia, szklarnia – dom. Okręt na kotwicy.

Kwiaty, to jakby nie patrzeć żywy organizm. Jak się tego nie dopilnuje, jak się nie podleje, to za moment nie ma do czego wracać.

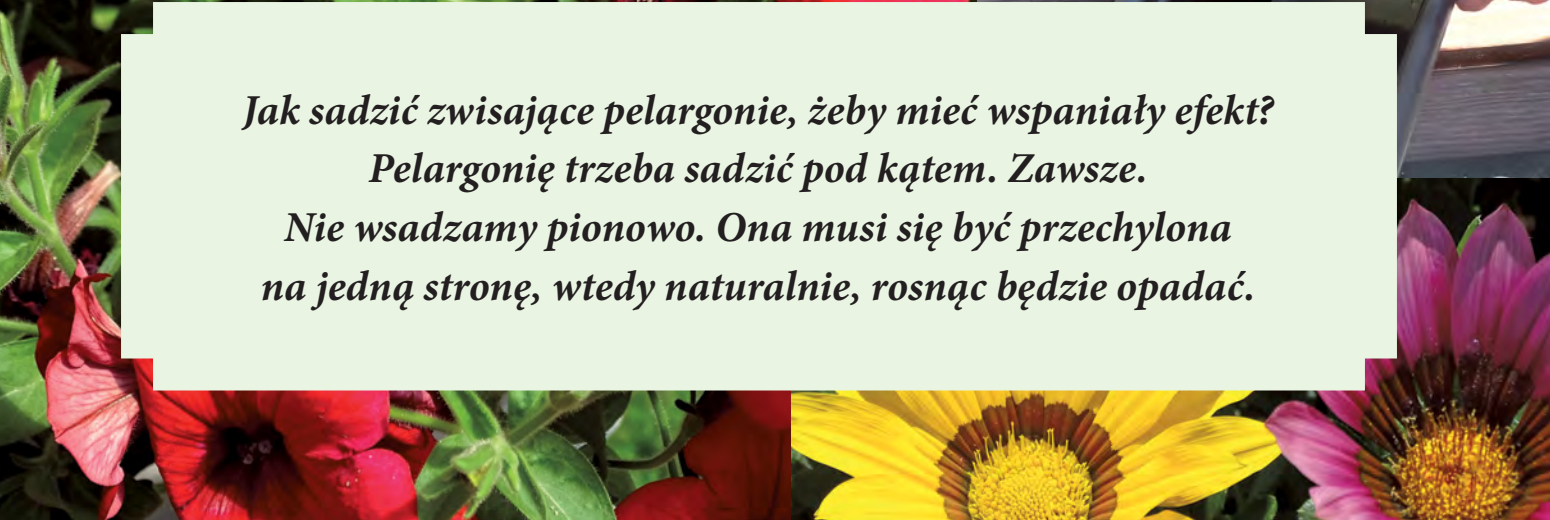
Mam oczywiście swoje ulubione kwiaty. To jest asteriscus. Prościutki, nieskomplikowany, taki jakby go dziecko narysowało, a potem wycięło z kolorowego papieru nożyczkami. Powiem to w zaufaniu. Surfinii mam po kokardę. Surfinia wprawdzie daje natychmiastowy efekt, ale dla mnie ma pewne zachwiane proporcje między zielonym a kolorowym. Wiem, że surfinia i pelargonja to zestaw obowiązkowy, ale ja lubię asteriscus. ■



Jak sadzić zwisające pelargonie, żeby mieć wspaniały efekt?

Pelargonie trzeba sadzić pod kątem. Zawsze.

Nie wsadzamy pionowo. Ona musi się być przechylona na jedną stronę, wtedy naturalnie, rosnąc będzie opadać.



MIEJSCE UŚWIĘCONE
MĘCZEŃSKĄ KRWIĄ POLAKÓW
POLEGŁYCH
ZA WOLNOŚĆ OJCZYZNY
TU
W DNIU 28 MAJA 1942 ROKU
HITLEROWCY ROZSTRZELALI
223 OSOBY

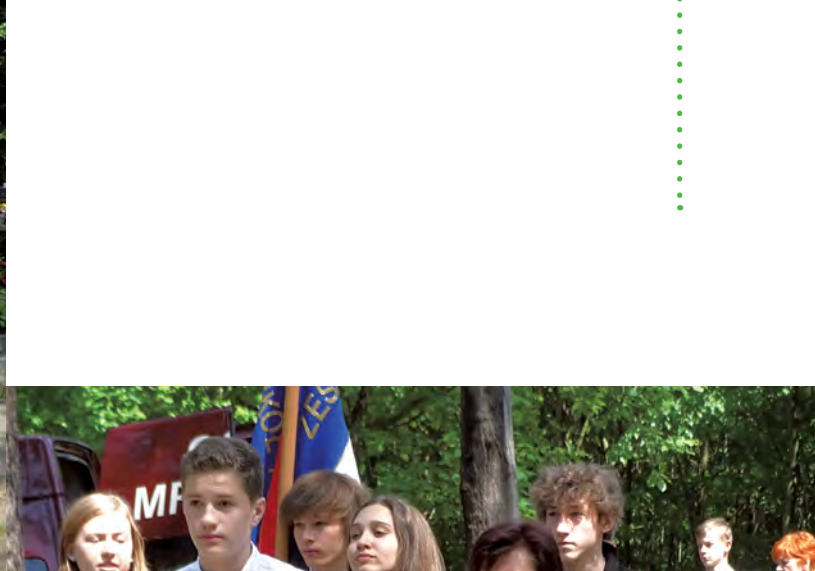


Pamiętamy o tamtej nocy...

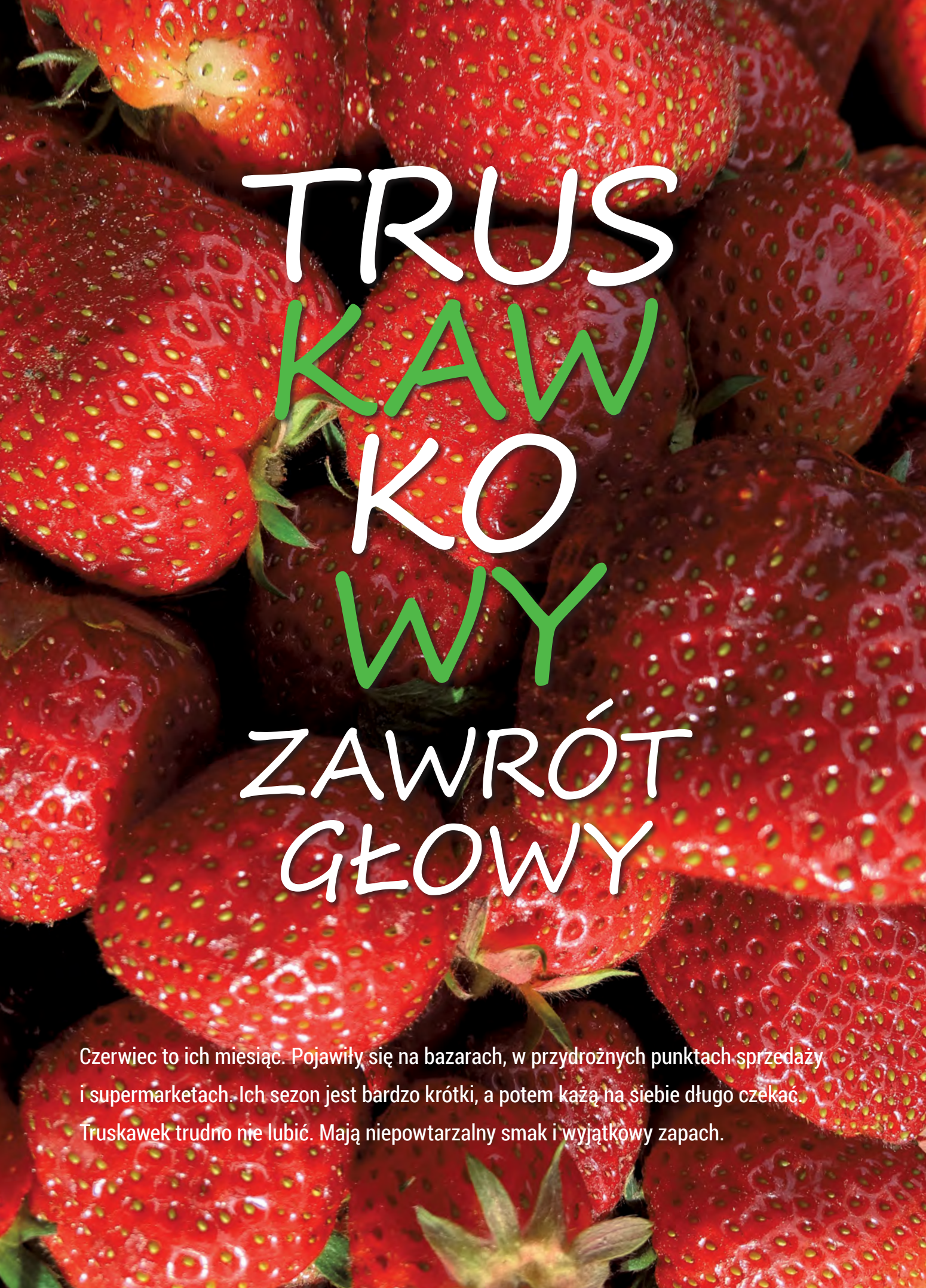
W nocy 28 maja 1942 w lasach sękocińskich nieopodal Magdaleny zbrodniarze z SS rozstrzelali 223 więźniów Pawiaka. 201 mężczyzn i 22 kobiety. Więźniowie byli w większości żołnierzami Armii Krajowej oraz struktur cywilnych i wojskowych Polskiego Państwa Podziemnego. Egzekucja rozpoczęła się o 3:00 w nocy. Potem przez kolejne godziny ciężarówki dowoziły skazańców. Ginęli od strzałów w pierś lub tył głowy. Prawdopodobnie część rannych zakopano żywcem...

Po wojnie, w lipcu 1946 roku w obecności przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża i Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, odbyła się ekshumacja ciał. Nie wszystkie ofiary udało się zidentyfikować. Po zakończeniu prac zwłoki zamordowanych pochowano na cmentarzu parafialnym w Magdalence.

Każdego roku 28 maja mieszkańcy gminy oddają hołd pamięci pomordowanych. W tym roku, w 74 rocznicę tamtej zbrodni, na miejscu straceń odprawiono mszę polową w intencji pomordowanych i złożono wiązanki kwiatów.



47



TRUS KAW KO WY ZAWRÓT GŁOWY

Czerwiec to ich miesiąc. Pojawiły się na bazarach, w przydrożnych punktach sprzedaży i supermarketach. Ich sezon jest bardzo krótki, a potem każą na siebie długo czekać. Truskawek trudno nie lubić. Mają niepowtarzalny smak i wyjątkowy zapach.

Mogą być zjadane prosto z krzaczka, podawane z bitą śmietaną, dodawane do ciast, sałatek i koktajli. Z truskawek powstają znakomite dżemy, choć te własnej roboty mają w sobie dodatkowe, sentymentalne zalety. Kompoty z truskawek uwielbiają dzieci, a zamrożone i przechowane na chłodniejsze pory roku owoce, zawsze będą przywoływać w pamięci smaki lata.



KOKTAJL TRUSKAWKOWY

SKŁADNIKI

500 g świeżych truskawek, 1 litr kefiru lub mleka, 2 – 3 łyżki cukru (lub więcej, do smaku) można zastąpić miodem

Opłucz truskawki, oczyść z szypulek. Wrzuć do miksera, dodaj kefir lub mleko – najlepiej schłodzone, dosyp cukier. Wszystko zmiksuj. Podawaj od razu.

Truskawki to samo zdrowie. Zawierają sporo witaminy C, a poza tym fosfor, żelazo, potas, magnez, miedź, cynk i sporo pektyn czyli frakcji błonnika pokarmowego pobudzającego pracę jelit. Posiadają jeszcze jedną niewątpliwą zaletę. Są niskokaloryczne, oczywiście bez kremowych dodatków. Czas więc na truskawki!



BABECZKI Z TRUSKAWKAMI

SKŁADNIKI

2 szklanki mąki, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, 2 jajka, 1/2 szklanki cukru, 1/2 szklanki oleju, 1/2 szklanki śmietany 12%, 20 dag truskawek

W jednej misce wymieszaj mąkę z proszkiem do pieczenia, w drugiej zmixuj krótko jajka, dodając powoli cukier. Potem dodaj olej, śmietanę i wszystko jeszcze raz krótko zmixuj. Oplukane i osuszone truskawki pokrój na małe kawałeczki. Dodaj do mąki i wymieszaj. Potem połącz z masą jajeczną. Mieszaj krótko i delikatnie, tak aby truskawki się nie rozpadły. Formę na babeczki (muffinki) wyłóż papierowymi papierkami lub przygotuj gotowe papilotki. Przełóż do nich ciasto. Babeczki piecz w piekarniku nagrzanym do 175 st. C przez 35 (do 40) minut. Przed podaniem wystudź.



ZWYKŁE CIASTO Z TRUSKAWKAMI

SKŁADNIKI

4 jajka, 1 szklanka cukru, 2 szklanki mąki, kostka margaryny lub masła, 2 płaskie łyżeczki proszku do pieczenia, opakowanie cukru wanilinowego, ok. 70 dag świeżych truskawek, cukier puder

Białka ubij z cukrem na puszystą masę, dodaj żółtka i dokładnie zamieszaj. Mąkę połącz z proszkiem do pieczenia i dodaj do masy jajecznej. Na sam koniec wlej letnią, rozpuszczoną margarynę lub masło i dokładnie wymieszaj. Wylej ciasto do wyłożonej pergaminem blachy, ułóż wcześniej umyte i przekrojone na pół truskawki. Piecz w 180 st. C ok. 30-40 minut. Po wystygnięciu ciasto obficie posyp cukrem pudrem.





SALATKA Z TRUSKAWKAMI, MIĘTĄ, SEREM FETA I CZARNYMI OLIVKAMI

SKŁADNIKI

opakowanie sera Feta, garść czarnych oliwek,
100 g truskawek, dwie garści rukoli, 1 łyżka posiekanego
szczypiorku, 2 łyżki posiekanej świeżej mięty
winegret: 1 łyżka posiekanej mięty, 3 łyżki oliwy extra
vergine, łyżka miodu, 2 łyżki soku z cytryny, sól, świeżo
zmielony pieprz

Wymieszaj składniki winegretu. Umytą rukolę ułóż na pół-
miskę, dopraw solą, pieprzem i wymieszaj z 1 łyżką oliwy
extra vergine. Dodaj pokrojone truskawki, czarne oliwki
i posyp szczypiorkiem. Serek Feta pokrój w kostkę (można
kupić też już pokrojony), obtocz w pieprzu i pozostałych
2 łyżkach posiekanej mięty, dodaj do sałatki.
Polej winegretem i delikatnie wymieszaj.



TARTA Z TRUSKAWKAMI

SKŁADNIKI

20 dag mąki, 12 dag masła lub margaryny, łyżka oleju,
2 łyżki cukru pudru, jajko, żółtko, aromat waniliowy
albo rumowy
wierzch: 60 dag truskawek,
3/4 szklanki dżemu truskawkowego, 5 dag cukru

Masło posiekaj z mąką, dodaj jajko, żółtko i cukier, szyb-
ko zagnieć, uformuj kulę i wstaw do lodówki na godzinę.
Oplukane, osączone i osuszone na papierowym ręczniku
truskawki przekrój na półowki. Ciasto wyjmij z lodówki,
rozwałkuj i przełóż w formę do tarty lub tortownicę
o średnicy około 25 cm. Gęsto ponakłuwaj widelcem
i wstaw do piekarnika nagrzanego do 200 st. C. Dżem
truskawkowy wymieszaj z cukrem i mieszając, podgrzewaj
w rondelku, aż cukier się rozpuści, po czym przetrzyj przez
sitko lub zmiksuj. Na upieczonym i ostudzonym spodzie
ułóż truskawki w rozetę i pokryj warstwą ciepłej glazury
owocowej.



To tyle w pierwszym numerze „mojej Lesznoli”. Dziękujemy za uwagę.

Mamy nadzieję, że sięgniecie Państwo po kolejny numer.

Jeżeli chcecie opowiedzieć swoją historię, pokazać swoją firmę – czekamy na kontakt.